

NELE NEUHAUS

# O Autorce

*Jak zostałam pisarką  
i dlaczego trzeba realizować  
swoje marzenia*

 ullsteinbuchverlage



Jak wszystko się zaczęło ...

Pierwszą historię napisałam w wieku pięciu lat, jeszcze zanim dobrze nauczyłam się pisać w szkole.

Była to opowieść o sowach, moich ulubionych zwierzętach w owym czasie, i ten, kto chciał odcyfrować cudość, musiał czytać na głos, bo stosowałam zapis fonetyczny. Kiedy później opanowałam sztukę poprawnego pisania, zapisywałam opowieści w szkolnych zeszytach ...

Miałam ulubione pióro marki Pelikan, którym chyba w 1981 roku napisałam historię z końmi w tle pt.: Jessica - przygody w stajni. Przygody te zajęły mi kilka dobrych zeszytów, które sklejałam razem taśmą samoprzylepną.

Parę lat później dostałam od rodziców na Boże Narodzenie żółtą podróżną maszynę do pisania. Na niej właśnie powstały w kolejnych latach niezliczone historie. W każdej wolnej chwili pisałam opowieści o koniach, romanse, scenariusze i tym podobne. Część z nich zatrzymywałam, większość wędrowała do kosza. Już wtedy byłam pewna, że chcę zostać pisarką.

Wilek Wilk



© Felix Kumbholz

### Wymarzony zawód: pisarka

Zbliżał się koniec nauki w szkole średniej. Koledzy i koleżanki zapisywali się na praktyki, składali papiery na studia. Gdybym na pytanie, kim chcę zostać w przyszłości, odpowiadała zgodnie z prawdą, z pewnością by mnie wyśmiano i uznano za arogancką. Każdy wie, że pisanie książek to ciężki kawałek chleba. Moi biedni rodzice wpadliby w rozpacz, oczyma duszy widząc mnie jeszcze z pięćdziesiątką na karku pochyloną nad maszyną do pisania w ich piwnicy.

Więc zrobiłam to, co nieuniknione: zabrałam się za zarabianie pieniędzy. Ze względu na głęboką awersję do cyferek handel nie wchodził w rachubę. Miałam ochotę studiować filmoznawstwo, ale rodzice czuli się nieswojo na myśl, że mieliby mnie wysłać samą do dużego miasta jak Berlin czy Monachium. Dostałam więc posadę sekretarki w firmie, w której kilka razy pracowałam w wakacje. Otrzymywałam porządną pensję, a nie wynagrodzenie praktykantki. W głębi serca wiedziałam jednak, że kiedyś moje wielkie marzenie się spełni. Nie zrażając się, pisałam do szuflady, najczęściej jeszcze bez zakończenia. Nauczyło mnie to jednego: pisanie to w dużej mierze rzemiosło, a ćwiczenie czyni mistrza! Swoją drogą, wtedy jeszcze daleko mi było do napisania prawdziwej książki. Byłam zbyt niecierpliwa, zbyt wiele chciałam robić na raz.

### **Nie dawać za wygraną!**

Mijały lata. Na jednych z zawodów jeździeckich poznałam swojego męża i przez następne dwadzieścia lat dzieliłam czas między nasze wspólne hobby, jakim były konie, a pracę w jego zakładach przetwórstwa mięsnego. Własna firma i konie nie pozostawiają dużo wolnego czasu, tak więc pisanie stało się dla mnie jedyną formą urlopu. Przygoda na uniwersytecie w postaci kilku semestrów prawa, germanistyki i historii uświadomiły mi, że nie jest mi pisana kariera naukowa. Mimo to w ostatecznym rozrachunku to doświadczenie okazało się pouczające i nieodzowne. Pisanie, które odbywało się już

na komputerze, stało się moim hobby, dla którego mój były mąż nie wykazywał zrozumienia. Strata czasu, jak mawiał, potrząsając głową. Mimo to nie udało mu się mnie zniechęcić. Pewnego dnia ukończyłam tysiącstronicowy manuskrypt, którego akcja rozgrywa się w środowisku nowojorskiej finansjery. Musiałam przekopać się przez mnóstwo książek, bo pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia Internet nie był jeszcze tak powszechnym źródłem informacji jak obecnie. W końcu, po wielu przeróbkach, postawiłam kropkę pod „Unter Haien” (Wśród rekinów) i zaczęłam szukać wydawcy.

Oczywiście przytrafiło mi się to, co zdarza się pewnie każdemu pisarzowi, który chciałby zadebiutować na rynku. W odpowiedzi spływały same grzeczne standardowe odmowy. Tylko raz dostałam po dwóch dniach entuzjastyczną pozytywną odpowiedź, która po bliższej analizie okazała się ofertą druku mojej książki za „jedyne” 60 tys. marek... Nie o to mi chodziło! Nikt nie tłumaczył, z jakiego powodu żadne wydawnictwo nie było zainteresowane manuskrytem. Zaczynałam wątpić w jakość tekstu i własne możliwości.

**Print on demand - „druk na żądanie” - dobra alternatywa**

Pod koniec 2004 r. trafiłam w Internecie na informacje o możliwości samodzielnego zlecenia druku książki. Magiczne słowo, czy raczej fraza, brzmiało: „Book on demand”. Trochę o tym poczytałam i stwierdziłam: to jest to! Weź sprawy w swoje ręce i spróbuj szczęścia!

Ale co dokładnie kryje się pod pojęciem „Books on demand”? **Zrozumiałam tyle, że wydawnictwa te drukują każdą książkę, chyba że jest niepoprawna politycznie.**

W uproszczeniu wygląda to tak: autor przesyła wydawnictwu manuskrypt w pliku Word i decyduje, czy tekst ma zostać wydrukowany w takiej formie, czy życzy sobie redakcję lub korektę językową za opłatą. Na życzenie wydawnictwo przygotowuje projekt okładki, występuje o numer ISBN itp. Po akceptacji przez autora tekst idzie do druku. Twarda oprawa, miękka oprawa, a może oprawa broszurowa – decyzja należy do autora. Wśród oferujących druk na żądanie wydawnictw wybrałam rodzimą firmę z Münster, Monsenstein & Vannerdat, której powierzyłam łącznie cztery projekty książkowe i zawsze byłam zadowolona.

We wszystkim jest tylko jedno „ale”. Każdy autor powinien zdawać sobie sprawę, że taka forma druku obejmuje wyłącznie wydrukowanie książki. Wydawnictwa specjalizujące się w „print on demand” nie troszczą się o reklamę i dystrybucję. Są one, i nie ma to zabrznieć negatywnie, jedynie usługodawcami, swego rodzaju lepszymi drukarniami. Niewielkie nakłady wychodzą tak drogo, że autor nie ma szans nic zarobić, a wysoka cena jednostkowa nie może konkurować z książką znanego wydawnictwa. A ponadto – przekonałam się o tym na własnej skórze – autorzy książek wydanych własnym sumptem nie są zbyt poważani. Ale nie zważałam na to. Chciałam dotknąć własnej książki, chciałam spełnić swoje marzenie.

## Realizuj swoje marzenia!

Musiałam dobrze oszacować ryzyko. Pierwszy nakład „Unter Haien“ wyniósł pięćset egzemplarzy w cenie EUR 16,90 za sztukę i przy objętości sześciuset kilku stron.

Z całą pewnością było to dość ryzykowne przedsięwzięcie dla nieznannej autorki. Nie mogłam przecież ocenić, jak i czy książka będzie się sprzedawać. Zorganizowałam premierę, na którą zaprosiłam przyjaciół i znajomych, zamierzałam też wykorzystywać do sprzedaży nasz sklep firmowy. Plan się powiódł. Po kilku dniach cały nakład został sprzedany, drukowałam więc dalej. Mnóstwo energii kosztowało mnie wprowadzenie książki na rynek, przy czym nie raz musiałam schować dumę do kieszeni.

Odwiedzałam lokalne księgarnie, tworzyłam własną stronę internetową, organizowałam wieczory autorskie, na które czasem przychodziła zaledwie garstka osób, szukałam kontaktów z prasą. Była to trudna i uciążliwa wędrówka, która jednak ostatecznie doprowadziła mnie do upragnionego sukcesu, bo książki znalazły się tam, gdzie miały się znaleźć, czyli u czytelników.

A oni wkrótce zaczęli domagać się więcej, i tak narodził się pierwszy kryminał osadzony w górach Taunus pt.: „Eine unbeliebte Frau“ (Nielubiana). Również w tym przypadku o wszystko musiałam zatroszczyć się sama. Zaprojektować okładkę, napisać na nią tekst i zająć się korektą całości. Tym razem pierwszy nakład był wyższy – na palecie w garażu tysiąc książek czekało na swą premierę, ale nie zostały tam długo. Pierwsi księgarze zainteresowani się moimi kryminałami i zaczęli je zamawiać. Przyjmowałam zamówienia, wystawiałam rachunki,

sama dostarczałam przesyłki i zawoziłam zakupione przez Amazon książki na pocztę. Również samochody dostawcze naszej firmy, wyjeżdżając w trasę, transportowały powieści do bardziej oddalonych księgarni.

Druga część serii kryminalnej „Przyjaciele po grób” ukazała się w pierwszym nakładzie pięciu tys. egzemplarzy. Od chwili wydania 18 listopada 2006 do czasu, kiedy książkę przejęło wydawnictwo Ullstein Verlag, „Przyjaciele po grób” sprzedali się w ilości ponad dziesięciu tys. sztuk!

**Dziś się cieszę, że wybrałam tę drogę. Znam proces wydawniczy, szanuję trudną pracę przedstawicieli, dystrybutorów, redaktorów i innych osób będących częścią tej maszyny. W końcu nie tylko pisałam książki, ale dokonywałam korekty językowej i wykonywałam prace redakcyjne, projektowałam okładki, wymyślałam tytuły, byłam działem marketingu, dystrybucji i księgowością w jednym.**

Mój były mąż i wielu innych kręciło tylko głowami, bo niewiele czasu pozostawało mi na inne rzeczy. Do południa praca w zakładach mięsnych, po południu pisanie, a w międzyczasie cała reszta. O urlopie mogłam zapomnieć. Kiedy ktoś pytał, czy czegoś mi nie brakuje, odpowiadałam, że nie. Przecież pracowałam nad realizacją marzenia mojego życia! Czy mogło mi czegoś brakować? Cieszyłam się tym, co udało mi się osiągnąć. Wtedy nie myślałam już o prawdziwym wydawnictwie, ale, jak się okazało, prawdziwe wydawnictwo myślało o mnie ...



## Ullstein

W styczniu 2008 r. w mojej karierze pisarskiej nastąpił wielki wspaniały przełom. Wtedy właśnie zadzwoniła do mnie redaktorka znanego wydawnictwa Ullstein Verlag. Jedną z przedstawicielek wydawnictwa przywiozła jej do Berlina egzemplarz „Przyjaciele po grób”. Książka tak się spodobała, że zapytano mnie, czy chciałabym nawiązać z nimi współpracę. Nie zastanawiałam się długo. Mój sposób wydawania osiągnął swój limit; brakowało mi czasu i pieniędzy na szeroko zakrojoną reklamę, brakowało kanałów dystrybucji, brakowało sił. Tę niewielką ilość czasu, jaką dysponowałam każdego dnia, wolałam poświęcić pisaniu. Poza tym Ullstein Verlag od zawsze pozytywnie mi się kojarzył, bo w dzieciństwie sowa była moim ulubionym zwierzęciem. Właśnie w wydawnictwie Ullstein Verlag wydano kilka moich ulubionych książek.

Niedługo potem przedstawiłam konspekt kolejnego kryminału, który natychmiast się spodobał w redakcji. Podpisałam umowę i zabrałam się do pracy. To było całkowicie nowe doświadczenie, móc pracować z doświadczoną redaktorką; doświadczenie wspaniałe, dzięki któremu moje książki stały się lepsze.

Latem 2009 ukazały się „Głębokie rany” i, ku zaskoczeniu wszystkich zainteresowanych, natychmiast znalazły się na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. Również „Eine unbeliebte Frau” i „Przyjaciele po grób” znalazły się w programie wydawniczym Ullstein Verlag i zostały wydane ponownie w kwietniu 2009. Moja współpraca

z Ullstein Verlag rozpoczęła się w idealnym momencie i przebiegała fenomenalnie. Tym samym moje wielkie marzenie się spełniło – naprawdę zostałam pisarką!

© Theresa Schenkel



## Przełom

Pomimo początkowego krakania niektórych, moje powieści spodobały się także szerszej publiczności i są czytane dziś nie tylko w Niemczech, ale i wielu innych krajach. Współpraca z wydawnictwem Ullstein Verlag była moją wielką szansą, której nie zaprzepąściłam. Przed tym także mnie ostrzegano: tylko czekaj, będą ci mówili, co masz pisać, będziesz pracować w stresie, pod presją czasu. Jeśli nie osiągniesz sukcesu, po prostu cię porzucą. Ale wcześniej też przecież pracowałam pod presją, bo sama wyznaczałam sobie terminy, organizując premiery i spotkania autorskie. A to kosztowało mnie dużo więcej stresu, bo byłam przecież całkiem sama na placu boju.

Dziś wraz ze mną nad tekstem pracuje redaktorka. Wciąż piszę to, co chcę. Wciąż daje mi to radość. Nie mam już poczucia, że jestem sama, bo za sobą mam duże wydawnictwo. W lipcu 2010 ukazał się czwarty z kryminałów, pt.: „Śnieżka musi umrzeć”. I nagle stało się coś, o czym nawet nie śniłam. Powieść znalazła się na listach bestsellerów; w Amazonie przez całe tygodnie i miesiące utrzymywała się na pierwszym miejscu.

Dla wydawnictwa Thienemann napisałam w roku 2010 dwie książki dla młodzieży o tematyce konnej. Dwie części o dziewczynce imieniem Elena ukazały się w 2011 r., zaraz potem dwie o Charlotte. Tym samym wróciłam niejako do korzeni mojej pracy pisarskiej. Także „Unter Haien” wyszła z cienia book on demand i najpierw ukazała się w wydawnictwie Prospero, będącej imprintem Monsenstein & Vannerdat z Münster, a następnie w marcu 2012 również nakładem wydawnictwa Ullstein Verlag.

**W międzyczasie moje książki osiągnęły w Niemczech niewyobrażalny łączny nakład ok. 5 mln egz. – wciąż wydaje mi się to nierealne!**

W ciągu kilku lat wszystko nabrało tempa i pozwoliło mi rozwinąć skrzydła. Ale ciężko na to pracowałam i nigdy nie dałam się zniechęcić ani krytykom, ani mężowi, z którym rozstałam się w 2011. Rzadko słuchałam „dobrych rad”, zwykle polegając na instynkcie, który nigdy mnie nie zawiódł.

Hmm, gdyby ktoś opowiedział mi to pięć lat temu, nigdy bym mu nie uwierzyła ...

## Wdzięczność

Pisanie to całe moje życie! Będę pisać zawsze i nigdy nie przestanę, tak długo, jak czytelnikom będą podobać się moje książki. A jeśli nie będzie nikogo, znów będę pisać dla samej siebie. I tak przede wszystkim piszę właśnie dla siebie. Dziękuję Bogu za talent i za szansę, które mi dano. Bo gdybym ich nie otrzymała, pewnie nie wzięłabym spraw w swoje ręce i nigdy nie odważyłabym się na druk własnych powieści.

**Dziękuję rodzicom, którzy zawsze rozwijali mój talent, siostronom, które mnie wspierają i na które zawsze mogę liczyć. Dziękuję czytelniczkom i czytelnikom, którzy lubią moje książki i dają mi się porwać do świata fantazji. Jesteście wspaniali!**

Dziękuję również krytykom. Z początku niełatwo mi było czytać recenzje krytyczne i raniące do głębi. Dopiero oszałamiający sukces „Śnieżki” wiele mnie nauczył. Zrozumiałam, że moje książki nie mogą podobać się wszystkim. Nie istnieją ludzie, którzy lubią wszystko i z pewnością wśród recenzentów i blogerów są tacy, którzy też chcieliby napisać książkę, ale im się nie udaje. Ale przyjmuję krytykę, nawet jeśli od czasu do czasu jest bolesna i nierzeczowa; czasem tak bywa. Najważniejsze, że przeważa krytyka konstruktywna, za którą dziękuję.

Jedno jest jasne: kiedy chce się realizować swoje marzenia, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, pracować ciężko, biorąc pod uwagę ryzyko niepowodzeń. Jeśli

siedzi się tylko z założonymi rękami, narzeka i ma nadzieję, że pewnego dnia szczęście się do nas uśmiechnie, to są to próżne nadzieje.

Dlatego wszystkim tym, którzy marzą o karierze pisarskiej, chciałabym dać jedną radę: piszcie, piszcie i jeszcze raz: piszcie! Bądźcie krytyczni w stosunku do siebie! Czytajcie, czytajcie i jeszcze raz czytajcie, by ulepszać swój styl. Szukajcie krytycznych (i szczerych) czytelników i proście ich o komentarz. Szlifujcie tekst i dwanaście razy, jeśli trzeba. Zawsze jest coś, co można poprawić. I najważniejsze: odwagi! Nawet choćby trzeba było zacząć od „book on demand”. Z niczym nie da się porównać tego cudownego uczucia, kiedy trzyma się w dłoniach pierwszą własną książkę!

Za pomocą założonej przez siebie fundacji Nele-Neuhaus-Stiftung chciałabym przekazać część tego, co osiągnęłam, innym; tym, którzy nie mogą liczyć na pomoc rodziców. Cieszę się, że mam wspaniałych sojuszników – rodzinę, przyjaciół i przede wszystkim mojego partnera Matthiasa, który ma dla mnie i mojej pracy dużo zrozumienia i na którego wsparcie zawsze mogę liczyć.

*I jeszcze na koniec: wszystkim, którzy dobrze mi życzą, ja życzę tego samego!*